

Pustynia Wadi Rum – luty 2012

Rarytasem jest w życiu spotkanie i obcowanie z kimś mądrzejszym, bardziej doświadczonym od siebie. Z wiekiem każdy człowiek nabywa doświadczenia i coraz mniej takich ludzi ma koło siebie. Wylawiam ICH spośród setek ciekawych ludzi, którzy pojawiają się w moim życiu. W sferze, którą określam mianem „przygoda” takim KIMŚ jest pewien czterdziestokilkuletni, wyglądający na trzydziestolatka, człowiek niewielkiej postury. Pracował na statkach, organizował rajdy samochodowe, przepłynął pontonem Atlantyk i samotnie zdobył Horn, był poszukiwaczem skarbów, a teraz, mieszkając pod Ammanem, poznaje tajniki kowalstwa. Wybraliśmy się z Arkiem na najpiękniejszą z pustyń świata. Jesienią podczas krótkiego flirtu z Wadi Rum postanowiłem, że wkrótce odwiedzę nową namiętną miłość. Obietnice, które składałem sobie samemu, trzeba spełniać!



Nikt nam nie chciał pożyczyć samochodu. Objechaliśmy większość wypożyczalni w Ammanie i nic. – Samochodu na pustynię nie dostaniemy. Po paru godzinach szukania ja wziąłem negocjacje w swoje ręce: w kolejnej napotkanej wypożyczalni powiedziałem, że wybieramy się z kolegą nad Morze Czerwone na podryw, na laski. Chcemy się zabawić. Jakże inna była rozmowa! Pełne zrozumienie, otwartość. Nagle mogliśmy przebierać w ofertach. Pożyliśmy od Araba nowiutkiego benzynowego Mitsubishi Pajero z automatem, 4x4, z blokadami centralnego mechanizmu różnicowego oraz tylnego mostu i z reduktorem. Zabraliśmy słoik humusu, kilka chlebków, ciepłe śpiwory i po trzygodzinnym rajdzie drogą ekspresową późnym wieczorem wyładowaliśmy na piasku.



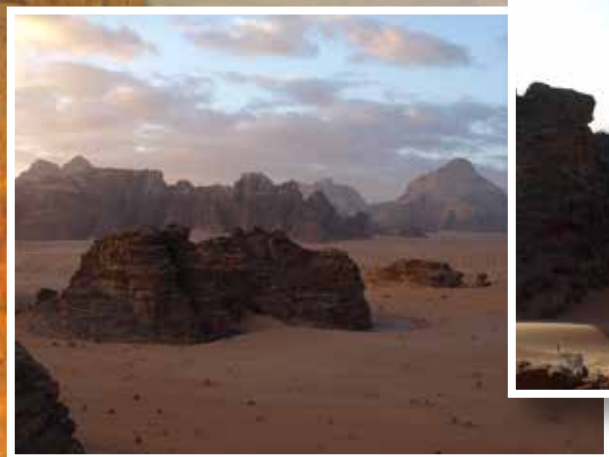


Zatrzymaliśmy się po półgodzinnym kluczeniu między wielkimi konturami skał, by o poranku podziwiać najpiękniejszą poranną grę światła na pustyni usianej skałami: wielkimi skalnymi górami, mniejszymi blokami i pojedynczymi ostańcami jak w zatoce Ha Long i na urokliwych wysepkach w okolicach Krabi.

Wadi Rum to magiczna, mistyczna pustynia.

Przemieszczanie się po niej to permanentne kluczenie w labiryncie skał, tuneli, pułapek, wydmy i kanionów.

Z duszą na ramieniu wychodzimy na Burdach Bridge, wspinając się po niezabezpieczonych niczym skałach, od czasu do czasu spoglądając wokół na księżycowy płaskowyż usiany meteorytami. Wadi Rum to jedno z tych magicznych miejsc, w które zawsze trzeba wracać. Coraz więcej jest miejsc, do których, z mocno bijącym sercem, jak obłąkany, obsesyjnie wracam, co roku: Sahara, Himalaje, teraz Wadi Rum.





Wehikuł

Najlepsze prezenty mężczyzna robi sobie sam. Już pierwszego dnia znalazłem wehikuł, który za kilka lat zastąpi mojego niestrudzonego i wiernego troglodytę. Samochód wyprawowy musi mieć benzynowy duży silnik, mający nawet w trudnych pustynnych warunkach duży zapas mocy. Powinien być to automat, bo kto lepiej od inżynierów pracujących od lat nad silnikiem podejmie optymalną decyzję o zmianie biegów i zapobiegnie spaleniu sprzęgła. Nowy wehikuł musi dać mi możliwość wygodnego wyspania się w środku kabiny. Otwieranie namiotu, także dachowego, podczas deszczu, wchodzenie do niego, a następnie poranne składanie mokrych szmat, nie należy do przyjemności.

Lekcja pokory i pracy u podstaw

Po kilku, także samotnych, wypadach na Saharę doszedłem do wprawy w wyciąganiu kilkutonowego samochodu z głębokiego piachu. Procedura jest następująca: łyk wody, ocena sytuacji, plan wyjazdu i zatrzymania się na twardym podłożu, podstawka do hi lifta z lewej, hi liftem wehikuł do góry, trapy pod lewe koła, podstawka do hi lifta z prawej, hi liftem wehikuł do góry, trapy pod prawe koła, pamiątkowe zdjęcie, łyk wody, kluczyk, gaz do dechy i po około pół godzinie wyjeżdżamy wieńcząc sukces np. miętową żołądkową gorzką. Warunkiem szybkiego i bezproblemowego wyjazdu jest sprzęt, który w domku pielęgnowujemy, oliwimy, z którym rozmawiamy, którego przed wyprawą nie zapominamy spakować i który na wyprawie





mamy w pogotowiu. To jest idealny i modelowy scenariusz, gdy na pustynię wybieramy się własnym wehikulem. Gdy jednak Arabowi tłumaczymy, że wypożyczonym od niego samochodem terenowym jedziemy nad morze czerwone na lans i podryw, a w istocie przed Aqabą skręcamy w lewo i wjeżdżamy na pustynię, w bagażniku oprócz aparatów fotograficznych, latarek i śpiworów nie mamy nic. Nie ma podstawki do hi lifta, nie ma trapów i nie ma też żelaznego hi lifta, którym w kilka sekund podnosimy kilkutonowe bydlę zakopane w piachu.

Gdy pierwszy raz się zakopujemy, jest niewinnie: koła lekko wbite w piasek. Ponieważ zatrzymaliśmy się na zboczu stromej wydmy, temat załatwiamy spuszczeniem powietrza i piętnastominutowym uwalnianiem kół oraz podwozia z piachu przyjmując tradycyjną pustynną postawę na kolanach. Bieg wsteczny, delikatny gaz, re-



duktor i wyjeżdżamy gładko. Jedyne mankament to fakt, że w jednym z kół za bardzo spuściliśmy powietrze nie pamiętając, że w wypożyczonym samochodzie nie mamy ani kompresora ani nawet małej pompki do kół. Pozbyliśmy się jedynego koła zapasowego montując je w miejsce koła, w którym spuściliśmy powietrze. Jazda bez zapasu to jak ulubiona przeze mnie, często praktykowana, jazda na oparach: z duszą na ramieniu.

Wczesnym popołudniem postanowiliśmy wybrać się w labirynt skał przy granicy z Arabią Saudyjską. Przedostaliśmy się wąskimi korytarzami skalnymi w odludne miejsce. I pech chciał, że na łagodnym i długim podejździe zakopaliśmy się sromotnie.

Zderzyły się tu dwie filozofie rozwiązywania problemów: Arek ukłęknał na piachu i zaczął mozolnie wybierać go spod kół i spod podwozia. Ja natomiast: obejrzałem zatopiony głęboko w piachu samochód i stwierdziłem, że jest ciężko. Wiele razy grzęzłem w piachu i wiem, kiedy będzie łatwo, kiedy trudno, a kiedy ciężko. Moja ocena była jednoznaczna: jest źle, tkwimy głęboko, samochód jest ciężkim potworem, a nie filigranowym troglodytą, nie mamy żadnego sprzętu oprócz naszych rąk. Sprawdziłem, ile mamy jedzenia i wody (kilka suchych skibek chleba i ok. 2 litrów wody). Następnie na GPS sprawdziłem gdzie jesteśmy (ok. 25 km od najbliższej wioski w linii prostej,

czyli ok. 30-40km dymania po pustyni; 8 km w linii prostej/ok. 12 – 15 km naszym śladem od namiotu Beduina, którego spotkaliśmy poprzedniego dnia ze stadkiem wielbłądów i starą toyotą. Kolejny jak się za chwilę okazało rozpaczliwy i daremny ruch, to wyszukanie w telefonie Beduina, z którym jeździłem po Wadi Rum kilka miesięcy temu i tak samo daremne poszukiwanie zasięgu GSM. Po tych przygotowaniach przyszedł czas na strategiczne plany: Mój wariant nr 1: zamykamy kloca, który utknął głęboko w piachu, zaznaczamy waypoint na GPS, bierzemy wodę, baterie, latarkę i dymamy całą noc do wsi, gdzie wynajmujemy Beduina z samochodem i liną. Wariant nr 2 jest taki jak wariant pierwszy, ale dymamy nie do wsi całą noc, ale cały wieczór do obozowiska Beduina, którego spotkaliśmy wczoraj. I przychodzi kolej na wariant trzeci: zamykamy samochód, bierzemy oprócz w/w rzeczy także aparaty, laptopa i paszporty, dymamy do wsi, wynajmujemy Beduina, który wiezie nas na lotnisko, wracamy do Polski, a Arabowi, który zdarł z nas skórę i wynajął samo-



chód za lichwiarską stawkę, wysyłamy z Polski sms lub maila ze współrzędnymi pozycji jego samochodu. Zawsze chodzącego mi po głowie wariantu czwartego – zjedzenia towarzysza podróży w razie głodu, nie brałem tym razem pod uwagę z racji sporego prawdopodobieństwa wyjścia z opresji.

Podczas mojego knucia Arek cały czas jest na kolanach i próbuje uwolnić koła i podwozie z piachu. Pomagam mu podczas moich knowań. Idzie nam nieudolnie. Ani łopaty, ani trapów, ani hi lifta. Ręce pokaleczone od podwozia, spod którego próbujemy wydobyć zbity piach.

Wtem zza skały daleko od nas widzę pędzący biały samochód terenowy. Rzucam się w jego kierunku, wrzeszczę. A Beduin pewnie sobie patrzy przed siebie, nie wi-









dząc mnie biegnącego z boku w czerwonej kurtce i wymachującego rękami. Nie słyszy mnie, ponieważ pewnie nuci sobie Koran. Przygnębienie mnie straszne ogarnęło. Pojechał sobie, nie zatrzymał się, nie pomógł!

Cały czas próbowaliśmy wydobywać piach. Po godzinie kopania uruchomiliśmy silnik, próbowaliśmy ruszyć. Samochód ani drgnął. Po kolejnej godzinie kopania to samo. Po 16 zaczął wiać silny i zimny wiatr. Zbliżał się wieczór, słońce zmierzało ku horyzontowi. Zapytałem Arka, co sądzi o moim pomysłe udania się w poszukiwaniu Beduina lub wioski. Skwitował pytanie milczeniem. Kopał. A ja bez przekonania razem z nim. Po trzeciej godzinie kopania samochód znowu nie ruszył z miejsca. Za każdym razem zapadał się jeszcze głębiej w piach. Zaczęliśmy nogami i rękami wydobywać go spod samochodu. Zły na Arka, że nie chce mnie posłuchać, zacząłem krążyć wokół samochodu. Znalazłem jeden płaski kamień, a potem kilka następnych. „Mamy



trapa” zawołałem do Arka. On wpadł na pomysł, by wyciągnąć z bagażnika lewarek. Kamień posłużył za podstawkę. Unosiliśmy kolejno każdą część samochodu i pod kołami układaliśmy kamienie. Gdy słońce zachodziło, samochód drgnął nieznacznie, kilka centymetrów przesuwa-
jąc się w dół zbocza, zapadł się jednak ponownie w grząskim piachu. W tym momencie uwierzyłem, że się uda. Arek stopniowo podnosił wehikuł, a ja szuka-
łem kamieni, znosiłem je pod samochód. Po godzinie ciężkiej i wyczerpującej pra-
cy samochód stał na kamieniach, pod podwoziem i za samochodem ułożyliśmy
ścieżkę z kamieni, dywaników samocho-
dowych i gałęzi. Krótki paciorek i Arek
z wielkim wyczuciem dodał gazu, a gdy
samochód drgnął, zaczął go stopniowo
dodawać tak, by wreszcie wehikuł zawył,
wyjechał z impetem z dołka i ruszył na
wstecznym biegu w dół. Po kilkuset me-
trach Arek zatrąbił i stanął na twardym
gruncie. Uścisnęliśmy się. Życie w nowo-
czesnym świecie oducza wiary w sukces,
w mozolną pracę. Przyzwyczajamy się co-
dziennie do tego, że plik banknotów za-
łatwia sprawę. Są jednak sytuację, gdy
trzeba się zabrać do solidnej pracy u pod-
staw. Piękną lekcję pokory dała mi Wadi
Rum i dał mi kolega podróżnik. Szczęśli-
wi postanowiliśmy nie wracać najkrótszą
drogą do wsi, ale pokonać w egipskich
ciemnościach liczący kilkadziesiąt kilo-
metrów odcinek magicznej Wadi Rum.







